

Jak na polskie warunki i doświadczenia, wyprawa doszła do skutku szybko i sprawnie. Od narodzenia się pomysłu do jego realizacji — czyli wędrówki przez tropikalne puszcze, stepy i bagna Ameryki Płd. — minęły zaledwie dwa lata. Czas absolutnie niezbędny nie tylko dla załatwienia licznych formalności i zdobycia pieniędzy, lecz także dla skompletowania sprzętu, zapasów żywności i dla nauczania się języka hiszpańskiego.



Po pracowitym dniu — posiłek na Wyżynie Gujańskiej.
Zdjęcia: Wiesław Krzemiński

JERZY LOHMAN

OD WENEZUELI DO PERU

Inicjatorami (i późniejszymi uczestnikami) wyprawy byli członkowie studenckiego Koła Naukowego Przyrodników Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Ekspedycja przez nich zaproponowana wyróżniała się konkretnością motywów spośród innych, podobnych imprez (coraz liczniejszych ostatnio), podejmowanych np. pod hasłem sprawdzenia, jak zachowa się sprzęt w terenie... Krakowscy studenci chcieli jechać w celu ściśle sprecyzowanym: chodziło o dostarczenie do naszych zbiorów i zakładów naukowych określonych, brakujących tam okazów zwierząt i roślin.

Studenci zaproponowali — i dotrzyмали obietnicy — iż przywieżą: zbiór płazów, gadów oraz drobnych ssaków (nietoperze, gryzonie), zbiór drobnych owadów nocnych, zbiór paproci i storczyków oraz mchy i porosty dla badań porównawczych nad zanieczyszczeniem atmosfery. Kolekcje te były przeznaczone dla Uniwersytetu Jagiellońskiego, dla Oddziału PAN w Krakowie oraz dla Ogrodu Botanicznego i zostały niejako „zapotrzebowane” przez konkretne zakłady, instytuty, lub nawet przez poszczególnych uczonych, którym w pracy dydaktycznej czy badawczej brakowało potrzebnego materiału. Ponadto wyprawa przywiozła ogromną dokumentację fotograficzną, także bardzo cenną.

Jadowity wąż mussurana w rękach kierowniczkii wyprawy Jadwigi Larys sprawia niewinne wrażenie.



Pojechało 8 osób. Pięcioro studentów po IV roku biologii UJ: Jadwiga Lorys (kierowniczka wyprawy), Jerzy Mydlarz, Piotr Sura, Zbyszek Szyndlar i Wiesław Krzemiński, dr Jan Rafiński z Zakładu Anatomii Porównawczej UJ (opiekun naukowy wyprawy), dr Tadeusz Szymura (lekarz) i Andrzej Zatorski (kierowca). Polskę opuścili 7 lipca ub. r. powrócili 1 lutego br. Podróż w obie strony odbyli polskimi frachtowcami. Na kontynencie amerykańskim przebywali dokładnie 4,5 miesiąca.

O szczegółach wyprawy i wrażeniach z niej opowiada dr J. Rafiński:

Starem 4863 metry nad poziomem morza

Trasa wyprawy wyniosła — według licznika stara, naszego jedyne go środka lokomocji — ponad 11 tysięcy km. Przejechaliśmy przez 4 państwa: Wenezuelę, Kolumbię, Ekwador, Peru. Najwięcej czasu poświęciliśmy na Wenezuelę, gdzie pracowaliśmy kolejno we wszystkich formacjach przyrody, typowych dla tego kraju: a więc najpierw w podmokłych lasach mangrowców w pobliżu wybrzeża Morza Karaibskiego, potem w wilgotnej, tropikalnej dżungli, następnie na stepach w dorzeczu Orinoko (w po-

rze deszczowej stepy te są częściowo zalane wodą), dalej na Wyżynie Gujańskiej, pokrytej stepem krzaczastym i dżunglą, wreszcie powyżej górnej granicy lasu, w tak zwanej formacji paramos. Działalność w Wenezueli mieliśmy nieco ułatwioną dzięki istnieniu kontaktów pomiędzy wenezuelskim Uniwersytetem Centralnym a Uniwersytetem Warszawskim. Korzystaliśmy np. parokrotnie z gościny w stacjach biologicznych istniejących w parkach narodowych i rezerwach, których w tym kraju jest sporo.

Przez Kolumbię przejechaliśmy szybko, nie zjeżdżając z głównej drogi, słynnej Panamericana, ciągnącej się od Alaski po Chile, wzdłuż kręgosłupa obu Ameryk. Zresztą w państwach, przez które przejeżdżaliśmy, Panamericana to miejscami zwykły trakt z ledwo utwardzoną nawierzchnią, albo nawet bez niej. Kolumbia jest krajem niebezpiecznym dla cudzoziemców, ze względu na rozpowszechniony tam bandytyzm i agresywność niektórych plemion indiańskich. Ostrzegala nas przed tym m. in. polska ambasada. Właśnie podczas naszego pobytu wymordowano międzynarodową wyprawę naukową.

Przejazd przez Ekwador, wykonywaliśmy dla zbierania okazów górskich, żyjących powyżej granicy lasów.

Dłuższy czas spędziliśmy w Peru, przejeżdżając przez różne strefy klimatyczne i przyrodnicze tego kraju, od pustyń nad Pacyfikiem coraz dalej na wschód i wyżej, aż po lasy mgłowe na stokach Andów. Tam nasz star osiągnął swą rekordową wysokość: 4863 metry nad poziomem morza.

Zdrowie ekipy było przez cały czas znakomite. W kraju przeszliśmy bardzo dokładne badania lekarskie, w wyniku których jeden kandydat musiał zrezygnować z wyjazdu (miał nadciśnienie). Wszyscy uczestnicy wyprawy byli doświadczonymi turystami, obeznanymi z biwakowaniem w terenie i o dobrej ogólnej kondycji. Choć poprzednio nikt z nas nie wyjeżdżał poza Europę, nie mówiąc już o tropikach, okazało się, że znosimy tropikalny klimat bardzo dobrze. Gorąco męczyło nas tam mniej, niż letnie upały w Polsce.

Mieliśmy nieźle zaopatrzoną apteczkę (uzupełnioną w Ameryce m. in. o surowice przeciwko jadom tamtejszych węży) i doskonałego lekarza, chirurga ze szpitala miejskiego w Rybniku. Z zamiłowania przyrodnik-ornitolog, był wszechstronnie przydatnym członkiem wyprawy, a szczególnie zasłużył się przy preparowaniu zwierząt.

Legwany spadały z drzew jak gruszki

Łowienie okazów miało niewiele wspólnego z tradycyjnym polowaniem. Nie posiadaliśmy nawet broni palnej, do naszych celów nie była potrzebna. Nie przyjechalibyśmy, by polować na duże zwierzęta, które zresztą np. w Wenezueli są pod ochroną. Interesowała nas drobna fauna: owady, małe ssaki i — przede wszystkim — gady i płazy. Niektóre z nich zresztą osiągały znaczne rozmiary. Łowiliśmy legwany (wielkie jaszczurki) sięgające 1,5 m. Schwytaliśmy także 2-metrowego, rzadkiego, jadowitego węża musurane, żyjącego tylko w tropikalnej Ameryce i żywiącego się innymi węzami. W peruwiańskim jeziorze Junin, położonym w Andach, 4 tysiące metrów n.p.m. złowiliśmy rzadkie, olbrzymie żaby. Mają one około 30 cm długości i żyją w toni jeziora, na głębokości 10 m. Ścisłej mówiąc, złowili je dla nas tamtejsi Indianie, którzy żywią się tymi żabami i poją na nie przy pomocy harpunów.

Łowienie nie naszczęcało specjalnych trudności. Dwóch uczestników wyprawy specjalizuje się w herpetologii (nauka o płazach i gadach) i ma doświadczenie w chwytaniu węży. Trzeba tylko umiejętnie przycisnąć widelkami głowę węża do ziemi... Przy chwytaniu legwanów kłopot polegał na tym, że żyją one w koronach drzew, żywiąc się liśćmi i kwiatami. Musieliśmy więc wchodzić na drzewa i trząść z całej siły gałęziami. Legwany spadały na ziemię jak gruszki, a ponieważ są dość nieruchawe, więc dały się łatwo chwycić.

Uśmiercaliliśmy zwierzęta w sposób możliwie łagodny, usypiając je odpowiednimi środkami. Niezwłocznie preparowaliśmy okazy tak, jak jest to potrzebne dla celów naukowych. System krwionośny wypełnialiśmy kontrastem. Przy wstrzykiwaniu tego preparatu — co w przypadku małych zwierząt należy do trudnych zabiegów z dziedziny mikrochirurgii — nadzwyczajnie zasłużył się nasz lekarz. Martwe okazy konserwowaliśmy i transportowali w formalinie.

Ptaki śpiewają jak ludzie

Obserwacje egzotycznych ptaków — to zawsze szczególnie ciekawia naszych rozmówców w Polsce. Istotnie, tropikalna Ameryka jest strefą szczególnie bogatą w ptaki, w przeciwieństwie do dużych ssaków (oczywiście dziłkich), których żyje tu niewiele gatunków (małpy, trzy gatunki drapieżnych kotów, tapiry, pancerniki, leniwe i mrówkojady, gryzonie i lamy w Andach — to wszystko). Natomiast ptaków jest dosłownie zatrzęsienie. Kolumbia — na przykład — jest krajem, w którym żyje najwięcej na świecie gatunków ptaków. Samych tylko kolibrów jest w Ameryce Płd. ok. 300 gatunków! Te przepiękne ptaszki widzieliśmy nieustannie,

w ciągu całej wyprawy, od przybicia do brzegu w Wenezueli, aż do odpłynięcia z Limy. W Andach spotyka się je nawet na granicy wiecznych śniegów, ok. 5 tysięcy metrów n.p.m.

Ptaków nie łowiliśmy; fotografowaliśmy je, oczywiście na filmie barwnym. Nie tylko sławne ze swego upierzenia papugi, ale olbrzymia większość tamtejszego ptasiego świata jest niesłychanie kolorowa.

To nieprawda, że tropikalne ptaki nie śpiewają, a jedynie wydają różne skrzeki, turkoty, wrzaski itp. odgłosy. Istotnie, wiele gatunków ogranicza się tylko do dźwięków tzw. perkusyjnych, ale istnieje też niemało śpiewających, i to przepięknie, o melodyjce zbliżonej do śpiewu ludzkiego. Niektóre gatunki śpiewają parami tę samą „melodię” systemem antyfonalnym, jakby w duecie, co nie występuje u ptaków europejskich. Takie trele można zapisywać nutami, jak muzykę. W przypadku naszych, nawet najlepszych śpiewaków: skowronka, słowika, kosa — jest to niemożliwe.

Dlaczego jeździcie wojskowym samochodem?

Nasze kontakty z ludnością indiańską były bardzo dobre. Wszędzie mogliśmy się porozumieć w języku hiszpańskim. Wprawdzie zdarzało się, że w pewnych okolicach mieszkańcy nie wiedzieli nic nie tylko o Polsce, ale w ogóle o Europie, ale były to przypadki rzadkie. Wśród ludności tamtych krajów bardzo powszechne są nastroje lewicowe i rewolucyjne, więc wiadomość że jesteśmy z socjalistycznej Polski zjednywała nam natychmiast życzliwość. Na naszym starze wypisaliśmy, oczywiście po hiszpańsku, kim jesteśmy, skąd i po co przyjeżdżamy. Wojskowy charakter tego samochodu, czytelny dla każdego, budził często zainteresowanie, i musieliśmy tłumaczyć, dlaczego jeździmy wojskowym wozem.

Najdziwniejsza przygoda

Spotkała nas w Wenezueli. Przejeżdżaliśmy wówczas, w czasie deszczów, przez okolicę niemal bezludną. Terenowe drogi, rozmiękle, były trudne do przebycia nawet dla naszego starego. Nieraz przyczepialiśmy się liną do potężnego drzewa, aby przy pomocy wyciągarki wyciągnąć wóz z błota, ale zdarzało się, że zamiast samochodu wyrwaliśmy drzewo z rozmiękłego gruntu. Na rzekach, które normalnie pokonywaliśmy w bród, musieliśmy teraz budować prowizoryczne mosty z pni.

Kiedy mijaliśmy jakąś samotną zagrodę wybiegł z niej nagle stary człowiek o długich, siwych włosach, krzycząc po polsku: stójcie, stójcie! Osłupieliśmy. Okazało się, że był to poszukiwacz diamentów, osiadły w dżungli od dawna, z pochodzenia Serb. Po polsku nauczył się podczas wojny od kolegów-współwięźniów w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. Z napisu na starze zorientował się, kim jesteśmy i postanowił nas ugościć. Spędziliśmy u niego przemile chwile, opowiadaliśmy nam bardzo ciekawie o tutejszym życiu i nakarmił pieczenią z tapira. Był to gorący i szczerzy przyjaciel Polaków i Polski. Zaskakujące spotkanie z nim w tropikalnym pustkowiu było jednym z najmielszych momentów naszej wyprawy.

str. 8-9

tydzień

MAGAZYN ILUSTROWANY • POZNAŃ
27 VI 1976 • NR 26 (145) • ROK IV • 5 ZŁ